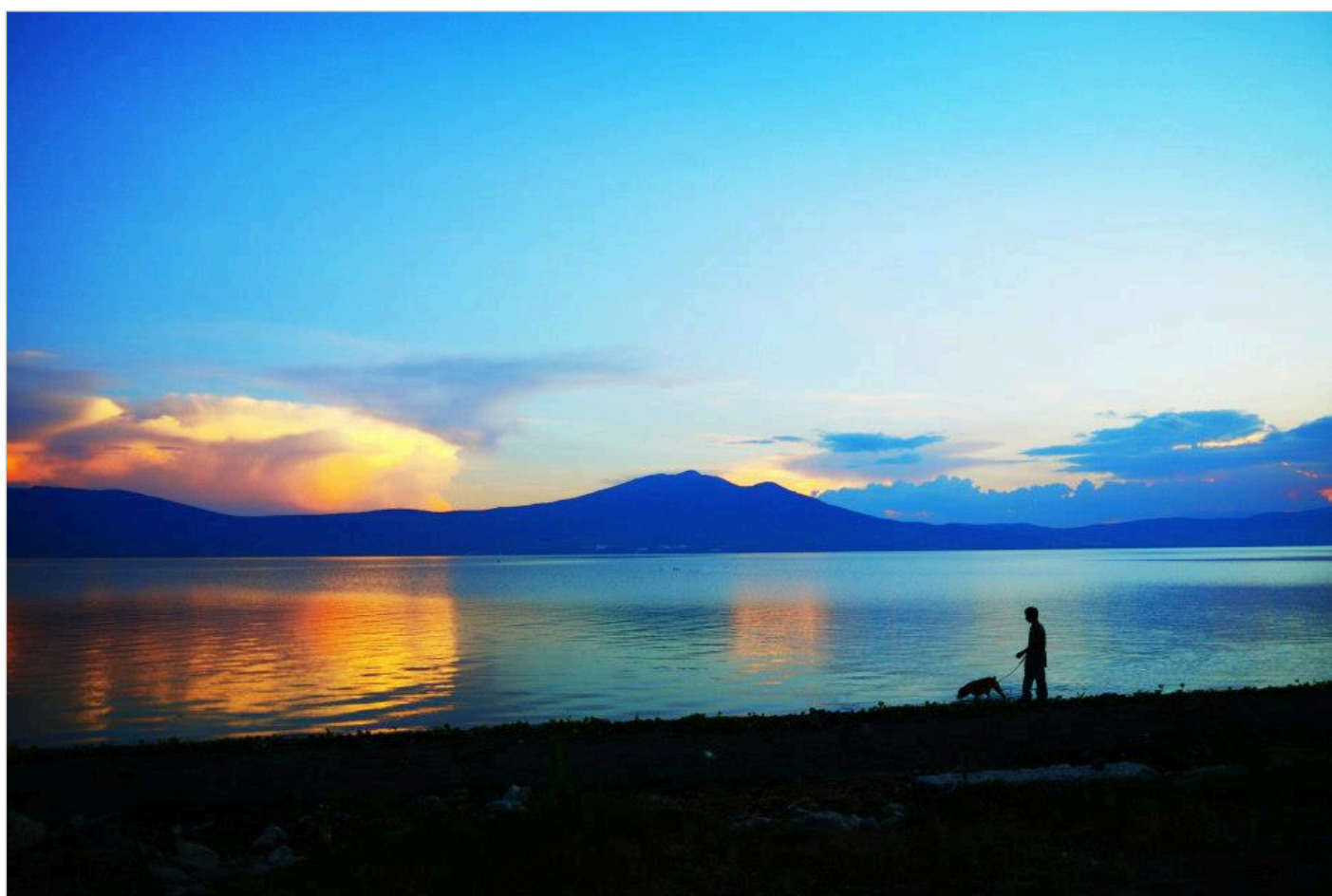


Don Juan znad Jeziora Chapala



Jezioro Chapala.

Florian Śmieja

Już sam kawaleryjski start z torontońskiego lotniska świadczył o zuchach przy sterze meksykańskiego samolotu. Jak tylko oderwaliśmy się od ziemi, zadarli oni płaty, by upewnić pasażerów, że trzymają się jeszcze kadłuba, i poszybowali wzdłuż jeziora Erie, by wkrótce wylądować w Chicago. Tam dosiedli się nowi podróżni, miejsce obok mnie zajął, jak się miało okazać, wysoki oficer meksykańskiej policji. Wdałem się z nim w rozmowę. W rezultacie, po wylądowaniu na lotnisku w Mexico City, polecił mi moją torbę wrzucić na swoje bagaże i bocznymi drzwiami bez jakiegokolwiek kontroli wyszliśmy wśród salutujących mojemu towarzyszowi funkcjonariuszy celnych na ulicę.

Następnego dnia policjant strzegący mojego hoteliku nabrał do mnie szczególnego respektu, kiedy zauważył, że przyjechał po mnie samochód policyjny z urzędowym kogutem na dachu. To dzięki kaprysowi dygnitarza pojawił się jego szofer, by mnie zawieźć do nie znanej mi tolteckiej miejscowości Tula.

Celem mojego wjazdu do Meksyku było odwiedzenie i poznanie rodaka, który kilka lat wcześniej odezwał się i napisał list do polonijnego pisma kanadyjskiego, z którym podówczas współpracowałem. Dziwił się on, że odwiedziwszy Meksyk nie opisałem swoich wrażeń i przygód. Wystosował zaproszenie:

...Na raz następny proszę podczas podróży do mnie wstąpić i ma Pan do dyspozycji łódkę, mostek i ryby w wodzie jeziora Chapala. Oprócz tego klimacik cały rok okrągły i jak w raju, a nie na ziemi.

Ponieważ minęło kilka lat zanim mogłem puścić się w drogę, powiadomiłem o tym listownie zapraszającego. Dokładnie objśnił mi jak do niego trafić. Szosą z Mexico było 585 km więc wybrałem nocny autobus do Guadalajara, by stamtąd innym autobusem zrobić 125 km w odmiennym kierunku. Jechałem do 73 letniego emeryta, jak donosił, „chłopaka ze wsi podkarpackiej, poszczerbionego kulami partyzanta ze zgrupowania Jędrusiów, dziękującego Opatrzności za każdy ukradziony dzień życia”.

W liście do mnie mitygował szczerze swoje wcześniejsze obietnice i studził nieco moje zapęły. Na pytanie, czy ryby w jeziorze biorę, odpowiedział prosto: “Te, co brały, dawno z wody wyciągnięte i zjedzone, a młode nie rosnę, bo jezioro co roku to dalej od brzegu”.

I tak po długiej podróży autobusem i przesiadce w Guadalajara znalazłem się na miejscu. W jednej z trzech pięknych willi, zbudowanych między szosą a jeziorem, w białym budynku z czarnym dachem, zastałem wysokiego, szczupłego, siwiejącego

mężczyznę w białym sombrero, o oczach chabrowych, człowieka jowialnego i bezpośredniego. Jego przybrana kilkunastoletnia córka wraz ze służącą próbowały akurat długim bambusem strącać owoce *pitaya* z kandelabrowego kaktusa stojącego przed domem.

Ponieważ na imię było mu Jan, stał się lokalnie znany jako Don Juan, a ponieważ był biały, to gringo. A znalazł się w Meksyku przypadkiem. Kiedy armia czerwona przewaliła się przez Polskę, antyniemiecka partyzantka nieraz zmuszona była walczyć z nowym okupantem i współpracującymi z nim organami PRLu. Z czasem jednak opór stał się nie tylko ogromnie niebezpieczny, ale wręcz beznadziejny. Pod węglem partyzant Jan przedostał się szczęśliwie do Szwecji. Były to czasy zimnej wojny i potrzebni byli ochotnicy do dywersji. Zaczęli ich szkolić Amerykanie w Europie. Kiedy jednak nastąpiła odwilż polityczna i koła historii potoczyły się w innym kierunku, ochotnicy stali się już zbędni. Jan otrzymał prawo osiedlenia się w Stanach Zjednoczonych. Bez języka i bez fachu w ręku, do tego ciężko schorowany, znalazł się w nowym kraju bez perspektyw, a lekarz dał mu sześć miesięcy życia.

W tej sytuacji wraz ze znajomym Niemcem, również nie mającym nic do stracenia, starym samochodem wybrał się do Meksyku. Przejechali cały kraj w poszukiwaniu sprzyjającego klimatu. Znaleźli go nad jeziorem Chapala w stanie Jalisco niedalego

miasta Guadalajara na wysokości 1500 m nad poziomem morza. Jan postanowił się tam osiedlić.

Opodal miasteczka Tizapán el Alto między drogą do Guadalajary a jeziorem leżały skrawki nieużytków, głównie kamienie. Należały do lokalnego bogacza. Ten, kiedy doniesiono mu, że jakiś gringo interesuje się jego *piedras*, kamiennym terenem, nie chciał nawet słyszeć o sprzedaży. Gdy petent ponawiał chęć kupna, właściciel, by się go pozbyć, wymienił niewiarygodną sumę miliona pezów.

Jakież było jego zdumienie, kiedy gringo ofertę przyjął. Za nikomu niepotrzebne „kamienie” zdumiony sprzedawca otrzymał wielkie pieniądze. Ale Jan też nie był w ciemię bity i swe kalkulacje miał. Kurs dolara był wtedy wysoki, znalazła się rodzina, która pomogła. Ziemię podzielił na trzy działki i dwie sprzedał po korzystnej cenie. Na trzeciej postawił wygodny budynek dla siebie. Z Don Juanem zaczęto się w okolicy liczyć.



Meksyk

Położenie domu nad jeziorem umożliwiło założenie irygowanego ogrodu. Kiedy pociągnięcie normalnej linii elektrycznej nastąpiło trudności, przemysłny Don Juan nocą zawieszał druty na biegnące wzdłuż szosy przewody elektryczne, uruchamiał pompę, a przed świtem zdejmował druty i troskliwie zwinąwszy chował daleko od domu. I wody z jeziora miał pod dostatkiem.

Był też pierwszym na miejscu posiadaczem sprzętu do

wykrywania metali. rozchwytywanym przez amatorów szukających zakopanych pieniędzy i kosztowności z czasów rewolucji. Szperał też na własną rękę i z powodzeniem. Z czasem jednak stał się ostrożniejszy. Zgodziwszy się kiedyś pojechać w góry szukać z innymi skarbu przeżył niemiłą przygodę. Kiedy już ustalił miejsce i odkopał pierwsze monety, jeden z uczestników wyprawy wydobył rewolwer i kazał mu zmykać. Były partyzant był sam bez broni, więc ze słowami *seniores* roztropnie się wycofał.

Broń po prawdzie miał i ponoć był to jego stary pistolet jeszcze z partyzantki, ale w Meksyku Don Juan wolał zachowywać wielką ostrożność. Nieraz policja ofiarowywała mu broń, ale on był przekonany, że zaraz po transakcji przyjdą po nią, skonfiskują a jego zaaresztują... Wolał nie ryzykować. Wymawiał się, że jest człowiekiem spokojnym, który broni nie potrzebuje. Nawet inspirowane kradzieże i włamania nie postkutkowały. Trzymał się z dala i koniec.



Tizapán, Meksyk.

W czasie jednego z moich pobytów w Tizapán na ulicach zaczęła się strzelanina: policja uzbrojona w karabiny ścigała kogoś czy po prostu chciała społeczność zastraszyć, bo zbliżały się lokalne

wybory. A z wyborami to w Meksyku jest zawsze cyrk.

Rządząca od czasów rewolucji Zinstytucjonalizowana Partia Rewolucyjna (Partido Revolucionario Institucional) nic sobie nie robiła z rezultatów wyborów tam, gdzie ich wygrać nie potrafiła. Po prostu nie oddawała władzy i siłą uśmierzała protesty przeciwników. Opozycja na próżno mobilizowała wyborców, kiedy zazwyczaj po przegraniu wyborów partia rządząca nie odchodziła, nie przekazywała kluczy, a wojsko i policja robiły porządek. Zdarzało się prawem wyjątku, że tu i ówdzie zdesperowane kobietymiotłami przepędzały zasiedziałyh marksistów. Ale takie wypadki należały do drobnych ustępstw i atrakcji dla społeczeństwa trapionego nędzą i korupcją rządzącej monopartii oraz ogólnym chaosem.

Carmen, przybrana córka Don Juana była Indianką ze szczepu Tarasca. Nazywała go pieszczotliwie *papi*, co nie wystarczało, by ją przestał poganiać często do sprząwania i innej domowej roboty. Była to jednak szorstkość udawana, bo w rzeczywistości strzegł jej jak oczka w głowie i cały majątek jej zapisał. U niego oglądałem wśród innych precjozów dużą kamienną głowę o czterech twarzach, meksykańskiego światowida, znalezioną na cmentarzysku oraz mixteckie żarna z wulkanicznego kamienia cudnie wyrobione z lewym gwintem, rytualne naczynie, ostrza strzał i włóczni, ofiarny nóż z czarnego obsydianu. Byłem z nim, kiedy nabył statuę bożka, który mu się z miejsca spodobał. Z

przymrużeniem oka napomknął, że nie zdziwiłby się wcale, gdyby się okazało, że we wnętrzu znajdzie szlachetne kamienie lub złoto.



Meksyk, agawa.

Nasz partyzant osiedliwszy się w Meksyku wkrótce dał się poznać jako spolegliwy doradca i hojny mecenas. Najchętniej wspierał zakonnice opiekujące się sierocińcami. Kiedy raz zagadnięty, dlaczego sam nie zaadoptuje sobie dziecka, zgodził się i poprosił o niemowlę płci żeńskiej. Takie się wnet znalazło a on zatrudniwszy dwie służące przyjął je do swojego domu.

Powstał problem nazwiska dla dziewczynki. Don Juan bez wahania

użyczył swojego, ale potrzebne jeszcze było nazwisko matki. Całą swoją swadą udało mu się przekonać młodą zakonnicę, by dla Boga i dla sieroty użyczyła swojego nazwiska. W ten sposób Carmen w papierach ma ojca i matkę. Nie było też większego zmartwienia z chrztem. Ksiądz proboszcz nie bardzo palił się do urządzenia uroczystości dla takiej znajdy. Don Juan poważnie przytakiwał głową jego wątpliwościom i zastrzeżeniom, ale równocześnie wydobył kilka banknotów i położył je na stole ze słowami: *Ale cóż to bezgrzeszne dzieciątko temu winne, że w takiej sytuacji przyszło na świat?* Ksiądz widząc pieniądze łącznie zgodził się z jego sentymentem i odbył się huczny chrzest.

Don Juan nadal nie zapominał o sierocińcach w Morelia, Zamora i Ciudad Granja. Powiadał, że miał dużo szczęścia w partyzantce, przeżył pościgi i bez szwanku wyszedł z zasadzek, że udało mu się podreperować zdrowie w Meksyku, że prowokował na nowo swoją fortunę i wygrał, bo zakonnice i sieroty modliły się w jego intencji. Wilie chętnie spędzał w sierocińcu w Zamora, skąd pochodziła jego przybrana córka. Oboje pojawiali się w nim z koszem owoców i ogromnym ciastem, które Carmen kroila i rozdawała swoim mniej fortunnym zakładowym siostrom i braciom.

Osiadłszy pod Gadalajarą Don Juan najpierw poszukał indiańskiego znachora. Przeżywszy w partyzantce w Polsce operację płuc w majątku Niziny nad Wisłą przywiązany do drzwi

przez lekarzy współpracujących z podziemiem, a ta operacja kosztowała go pół płuca i kilka żeber, wytrzymał również zabiegi i rytuał czarownika, a nawet z czasem nauczył się od niego ziołolecznictwa, założył ogródek z ziołami i sam zaczął leczyć innych.

Szybko wykaraskał się z gnębiącego go ustawicznie wysokiego ciśnienia. Wybrał sobie dietę i sumiennie ją stosował. Pamiętam jak nawet pomidory najpierw gotował, a potem obierał ze skórki przed spożyciem. Przyrządzał jedzenie po partyzancku i po starokawalersku, ale przede wszystkim rozsądnie i zdrowotnie wedle dobrego rozeznania.

Rano po wypiciu o siódmej godzinie filiżanki swojskiej herbaty ziołowej jechaliśmy do miasteczka Tizapán położonego jakieś dwanaście kilometrów na wschód również nad jeziorem Chapala. Tuż przed miejscowością był posterunek wojskowy: na szosie trzeba było zwolnić, by przejechać przez przeszkody specjalnie wmurowane w poprzek jezdni, dla zatrzymania ruchu. W przydrożnych bunkrach żołnierze w hełmach i z bronią w ręku pilnowali porządku. Dawniej rewidowali każdy pojazd, ostatnio, po zastrzeleniu dwu młodych ludzi, którzy chcieli brawurowo sforsować przeszkodę, już tylko obserwowali.

W Tizapán, znaczącym „ziemia chlebowa”, chodziliśmy codziennie na targ, na którym kupowaliśmy świetne i chrupkie

bułki, trochę mięsa, jajka, a przede wszystkim pomidory, pomarańcze, banany, melony i papaje.

Automat wyrabiający placki kukurydziane, tortillas, obsługiwały dwie dziarskie Metyski. Uśmiechając się przyjaźnie polecały mi swoje placki. Odpowiedziałem, że nie mam z sobą pieniędzy. To dostanę na próbę za darmo. Tłoczone z pojemnika ciasta na ruchomą taśmę z dużą szybkością przechodziły nad gazowymi palnikami i już upieczone układały się na stosie. W te placki zawija się różne przyprawy, mięsa i sałaty, by powstała jedna z ulubionych meksykańskich potraw.

Teresa Garcia, jedna ze sprzedawczyń, wręczyła mi z taśmy trzy placki, a ja jej dałem na pamiątkę kanadyjskiego centa. Zapytała o moje imię, chciała wiedzieć, co porabiam, gdzie bywam. Szczupłutka, żywa i rezolutna westchnęła „Piękna musi być Kanada” i zaraz dodała: „i Polska”. Kto wie też, jakie sobie snuła marzenia i jakiej melancholii nabawił się ten sympatyczny podlotek.



Meksyk.

Ciężkie warunki życia skłaniają wiele kobiet w Meksyku do wiązania się z osiedlającymi się w tych stronach cudzoziemcami, najczęściej Amerykanami i emerytami, oferując im najtroskliwszą opiekę i czułość za dach nad głową i ludzkie traktowanie.

Odwiedzałem tę przyjazną polską oazę kilkakrotnie. Z domu Don Juana mogłem jeździć po okolicznych stanach. Interesowały mnie szczególnie górskie krainy, które w latach dwudziestych i trzydziestych były teatrem zaszartych i krwawych walk między lokalnymi chłopami tzw. *cristeros* a wojskiem rządowym. Wyszukiwałem dawne gniazda powstańców i rozmawiałem z byłymi kombatantami będącymi w bardzo już podeszłym wieku.

Zjeździłem w ten sposób autobusami stany Michoacán, Jalisco i Colimę.

Meksykanie jeżdżą głównie autobusami. Dworce autobusowe niektórych miast są malowniczą i ważną instytucją społeczną. W większych miastach są osobne dworce pierwszej i drugiej klasy. Często różne linie oferują kursy do tych samych miejscowości, wtedy obsługa autobusu bardzo agresywnie kaptuje sobie klientelę. Wygodne i bezpieczne są klimatyzowane pojazdy pierwszej klasy używane głównie przez zamożniejszych Meksykańczyków oraz turystów. Ogół jednak i młodzi turyści jeżdżą tanimi, odrapanymi i brudnymi autobusami bez chłodzenia, zatłoczonymi i hałaśliwymi. Ścigają się one niebezpiecznie z równie mało sprawnymi ciężarówkami i jak sfatygowane bombowce wracające z trudem do bazy zajeżdżają na dworce, gdzie czeredy chłopców opadają je z mrożonkami, lodami, sokami, owocami i ciastkami.

Patrzałem na tę aprowizację z zazdrością. Napiłbym się nieraz chętnie soku czy zjadłbym lody, bo upały duże i brak przeciągu w zatłoczonych autobusach, ale bałem się wody. Nie miałem odporności tubylców, którzy pili do woli i pałaszowali zakurzone placki. Ostrożność była wskazana i roztropna.

Choć lichy płatni i pracujący w fatalnych warunkach kierowcy wydali mi się znakomici. Nieraz zresztą musieli oni przemieniać

się w mechaników. Autobusy psuły się nagminnie, a wysławszy pasażerów na małą przechadzkę, obsługa brała się do naprawy i najczęściej wychodziła z problemu zwycięsko, wołała pasażerów i niejednokrotnie dojeżdżała do celu na czas wedle przysłowiowego „Lepiej trupem, ale na czas”.

Jeździłem tymi autobusami namiętnie. Pędziła mnie jakaś niespokojna energia, czułem radość, że znajdowałem się w dzikim krajobrazie, że byłem sam. Miałem czas, czekanie nie było przykre, nie wadziłem nikomu. Nauczyłem się cierpliwości. Potrafiłem godzinami siedzieć na kamieniu i czuć się częścią krajobrazu.

Nauczycielami nieraz byli Indianie i Metysi. Ich sposób bycia potrafił zaimponować. Czasem zaskakiwały mnie ich słowa. Kiedy raz w cieniu drzew czekałem na skrzyżowaniu dróg na autobus z Guadalajary, dołączył do mnie starszy Indianin. Po wymianie pozdrowień poskarżyłem się, że czekałem już parę godzin, na co on odpowiedział z flegmą: „No to, señor, będziesz już czekał krócej”.



Meksyk, sztuka prekolumbijska.

Meksyk to kraj rozległy i ludny, górzysty bardzo i obfitujący w wulkany, położony między dwoma oceanami, każdy jego stan (a Meksyk ma ich 27) zaskakuje czymś odrębnym i fascynującym. Z zapylonej pustyni wyjeżdża się na urodzajną równinę, na płodne czerwone ziemie pełne zboża, kukurydzy i warzyw. Ale obok nowoczesnych traktorów i maszyn rolniczych widzi się nadal tabuny koników i osiołków słaniających się pod ciężarem ładunków, często długich żerdzi czy desek przytroczonych do siodła i włączonych po ziemi. Fauna Meksyku jest bogata: w powietrzu ustawicznie kołują sępy. Czarne kolibry uwijały się przy kwiatkach kolczastych krzewów, ludzie kamieniami strącali cierpkie owoce, by je żuć. Dużo żółtych, czarnych i nakrapianych

motyli, egzotyczne dla nas iguany, a przez dzień cały słysząc gwizd i szum owadów oraz rechot żab. Ropuchy wydają odgłosy, które łatwo brać za szczekanie psów.

Wybrane miejsce i tryb życia wybitnie Don Juanowi służyły, choć pędził życie w dużej mierze samotnicze i tylko wyjątkowo zaglądali do niego ludzie z północy. Raz na przykład zawitał dyplomata, podróżnik i pisarz Jerzy Giżycki w drodze do Indian w Oaxaca, wśród których pozostał do śmierci. Kiedy Don Juan przekroczył osiemdziesiątkę nadal cieszył się znakomitą zdrowiem śmiejąc się, że o istnieniu w jego ciele dwu niemieckich kul wie tylko Herr Rhoentgen. Te kule złapał, kiedy osłaniał angielski desant w Polsce i dzień cały w szuwarach przeleżał, zanim ściągnięto go do majątku na operację. Opisywał, jak się jeszcze ścigał na rowerze z urwisami. Zjadał lekkie śniadania, szedł do ogrodu i pasieki, a także do dawnego domu, bo nowa właścicielka owdowiała i potrzebowała pomocy, więc się tym domem opiekował. Pamiętam, jak siadywaliśmy tam razem wieczorami spoglądając na piękną posiadłość, która mu dała nie tylko przystań i zabezpieczenie starości, ale przede wszystkim przywróciła sens życiu i podreperowała zdrowie. Świetne powietrze i ładny widok na jezioro uleczyły duszę. A było na co patrzeć: nad kwieciami buganwili uwijały się duże motyle żółte i czarne, cynobrowe i bure, kolibry przeglądały roślinę zwaną *agua vera*. Z własnych agaw spijaliśmy mleko, *mezcal*, od którego zdaniem lokalnych Indian rosną płuca. Tym mlekiem

nieraz muszą się zadowolić dzieci indiańskie. Na chudym drzewie dojrzewały papaje, żabki i świerszcze grały bez końca, z suchym trzaskaniem chygotały się pióropusze palm, raz po raz osuwały się ciężkie liście drzew zrzucających swoje sezonowe okrycie. Nad brzegiem żeglowały czaple i żórawie, z wody ozywały się kaczki i kurki. Don Juan żył spokojnie i szczęśliwie, jak u Pana Boga za piecem i kto patrzył na wyciszonego mężczyznę polewającego swój ogród, nie podejrzewał pod sielskim obrazkiem dramatycznej i niebezpiecznej przeszłości. Lekarza nie znał, miał swoje ziółka we własnym ogródku nie tylko dla siebie, ale i dla innych. Napisał, że po ziółka przychodziły też młode dziewczyny, aby spędzić płód, bo bały się, że je ojcowie zabijają, jak się dowiedzą o ciąży.



Meksyk.

Niektórym młodym kobietom proponował inne rozwiązanie. Zamiast ziółek zalecał tym, które były w ciąży nie dłużej niż dwa miesiące, wyjazd do Stanów Zjednoczonych, względnie Kanady, i oddanie dziecka za zapłatą ludziom, którzy na dziecko czekali. Wysłał już w ten sposób jedenaście dziewcząt. Tłumaczył mi:

Taka samotna para bez dzieci daje w liście zaproszenie dla dziewczyny na odwiedzin razem z gwarancją utrzymania. Dziewczyna po przyjeździe do USA czy Kanady pracuje u

krewnych przyszłej mamy, aby nie wiedziała, gdzie jej dziecko będzie adoptowane. W klinice rejestruje się na imię przyszłej mamy i rodzi. Po wyjściu z kliniki oddaje dziecko i otrzymuje zapłatę i bilet do Guadalajara. Jak dotąd to się zadowalają trzema tysiącami dolarów. Powraca 'całka' jak wyjechała i ani *novio se da cuenta* (narzeczony się nie zorientuje), co się z Lupitą stało. A rodzice jacy zadowoleni, że postarałem się o dobrą pracę, bo za siedem albo osiem miesięcy dziecko zarobiło kupę dolarów.

Sprzedawszy swoją willę nad jeziorem Don Juan wprawdzie kupił dom w Tizapán, ale niekiedy snuł plany, by przenieść się do Europy, albo do Kanady, gdzie miał braci. Lecz kiedy go obserwowałem, jak chodził na targu wśród przekupek i jak rozprawiał na skwerze miasteczka, jak radził przybywającym do niego ludziom i tęsknie spozierał na jezioro Chapala, rozumiałem, że w istocie ukochał on niepewny, ale męski tryb życia meksykańskiego i że właśnie tam partyzant spod Mielca znalazł swoje piękne przeznaczenie.

Mityczny Don Juan był postrachem kobiet i ich pogromcą. Jego imiennicy cieszą się opinią uwodzicieli i wyzyskiwaczy. Nasz Jan natomiast był ich obrońcą i dobroczyńcą. Jego dobra fama nie prędko ucichnie w gorącej ziemi Jalisco.